Nowoczesne historie Ukrainy

Ukraina obok nas: tak bardzo namacalna, jak nie była od wielu lat. Płonąca o kilkaset kilometrów, obecna w codziennych naradach sztabowców, słyszana w wagonie tramwaju czy metra, w rozmowie uchodźców. A zarazem nadal – wyobrażona.

Seria wydawnicza „Biblioteka Europy Środka", której pierwszym tytułem była „Lekcja Europy Środkowej" Csaby G. Kissa za chwilę obchodzić będzie piętnaste urodziny, i choć tomów liczy jeszcze nieco mniej niż *ceramowska*, coraz częściej sąsiaduje z nią na półkach domowych bibliotek, dalibóg nie tylko ze względu na budzące respekt grzbiety. Jej cechy charakterystyczne, prócz jasno wytyczonego obszaru zainteresowań? Przede wszystkim: młodość (nie znam chyba tytułu, którego oryginał, jeśli mamy do czynienia z przekładem, ukazałby się dawniej niż ćwierć wieku temu). Po wtóre, otwartość na nowe metody historiografii, ze szczególnym może uwzględnieniem andersonowskich „wspólnot wyobrażonych" (by wspomnieć choćby pracę Simony Škrabec, „Geografia wyobrażona. Koncepcja Europy Środkowej w XX wieku" czy obie książki Larry'ego Wolffa). Po trzecie – predylekcja raczej dla autorskiej, eseistycznej syntezy niż systematycznego wykładu dziejów: nie spotkałem się chyba w tej serii z przekładem podręcznika akademickiego, z historią narodową czy państwową spisaną w klasycznym formacie znanym z prac Ossolineum.

Takie upodobanie do autorskiej syntezy, z lekceważeniem dla „okresów", dynastii i systematyzacji pracy pociąga za sobą oczywiście pewne ryzyko: pamiętam jeden czy drugi tytuł, gdzie zapał poniósł autora daleko na morza szczegółów, dygresji, *petites histoires*, ze szkodą nie dla czytelnika oczywiście, zachwyconego obfitością nieznanych faktów, lecz może dla spójności serii. Z drugiej strony, takie prace jak choćby Paula Lendvaia („Węgrzy. Tysiąc lat zwycięstw w klęskach", 2016) czy Macieja Czerwińskiego („Chorwacja. Dzieje, kultura, idee", 2020) to coś znacznie więcej niż kolejny podręcznik: to

rodzaj, jeśli nie wtajemniczenia, to soczewka, która przez długie lata warunkować będzie nasze postrzeganie opisanych krajów, zakrzywiać czy filtrować kolejne czytane o nich prace, reportaże czy powieści.

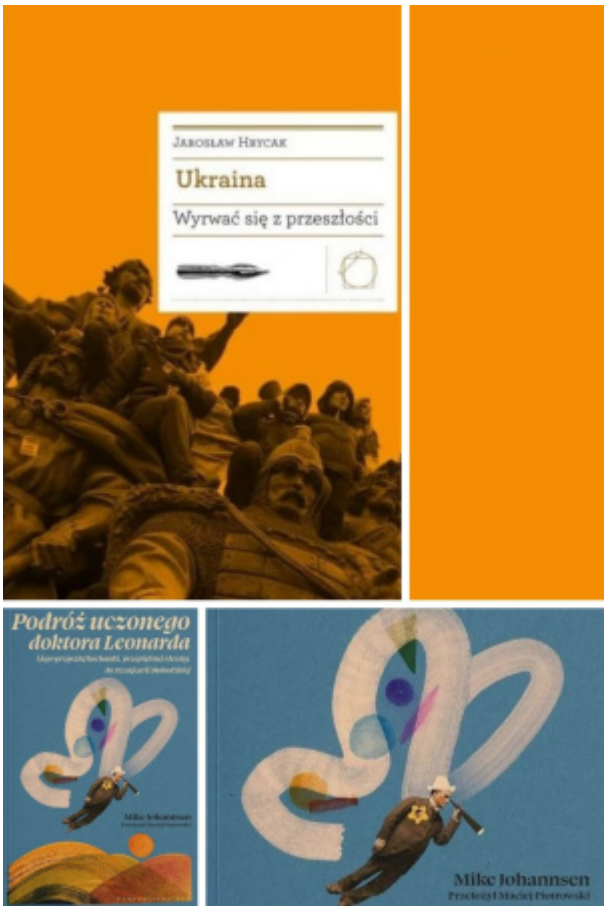

Teraz w tej serii ukazała się rzecz o Ukrainie Jarosława Hrycaka, jednego z najbardziej znanych w świecie ukraińskich historyków współczesnych, z frapującym podtytułem (właśnie, o mało zapomniałbym o kolejnej cesze tej serii!) „Wyrwać się z przeszłości". Autor głośny i świetny, mnożący paradoksy (we Lwowie wykłada na Ukraińskim Uniwersytecie Katolickim, będącym następcą Akademii metropolity Andrija Szeptyckiego, w Warszawie najczęściej wydaje w Wydawnictwie Krytyki Politycznej), entuzjasta opowiadania historii swojego kraju na nowo (por. jego książkę „Nowa Ukraina, nowe interpretacje", wydaną przez Kolegium Europy Wschodniej w 2009), a przede wszystkim – autor „klasycznego" podręcznika akademickiego „Historia Ukrainy: 1772-1999: narodziny nowoczesnego narodu" (Lublin, 2000).

Warto mieć te fakty na względzie. Zwykle bowiem, kiedy autor we wstępie do swej pracy naukowej zapowiada, że zamierza napisać rzecz inną niż wszystkie, „opowiedzieć przeszłość na nowo", kiedy dystansuje się od paradygmatów historiografii (realnych bądź wyobrażonych)

często można uznać, że po trosze kokietuje, po trosze usiłuje wyrwać się z koleiny, na wędrowanie w której skazani są dziejopisowie. Jarosław Hrycak jednak rzeczywiście w znacznej mierze spełnił swoje zapowiedzi – co pewnie łatwiej zrozumieć, mając na względzie jego dotychczasowy dorobek. Warto na pewno postawić jaskrawopomarańczową okładkę wśród innych tytułów serii: warto jednak również wiedzieć, co nas czeka i czego się nie doczekamy.

Na pewno udało się Hrycakowi w ogromnej mierze spełnić wyznany we wstępie ideał: „historii bez nazwisk i dat, przedstawionej jako proces". Broni tej myśli, powołując się (oczywiście!) na Marca Blocha i twierdząc za nim, że „nazwiska i daty są w historii tym, czym krew i mięśnie; jeśli się je usunie, pozostaje suchy szkielet". Nie wdając się w polemikę osteologiczną (skłonny byłbym raczej przyrównywać daty i nazwiska do szkieletu, niedostrzegalnego, na którym jednak opiera się cała opowieść, w innym przypadku złożona z amorficznej tkanki „przemian" i „trendów"), odnotować trzeba z uznaniem próbę filetowania dziejów Ukrainy, podjętą przez badacza: w rozdziale o średniowiecznej Rusi pojawiają się imiona bodaj czterech czy pięciu książąt (wynik, biorąc pod uwagę rozdrobnienie Rusi w okresie przedmongolskim, fascynujący!).

W rozdziale kolejnym, traktującym o „Ukrainie kozackiej" i rozciągającym się aż po rozbiory Rzeczypospolitej, spotykamy nazwiska trzech hetmanów: Chmielnickiego, Wyhowskiego i Mazepy, między nimi zaś rozciąga się czarnoziem przemian i procesów. Oczywiście, wszystkich nazwisk i dat jest wielokrotnie więcej, w kluczowym chyba (w każdym razie dla powstania nowoczesnego narodu) bloku traktującym o długim XIX wieku wymieniona jest i „Ruska Trójca", i dwóch wieszczów, i politycy Małorusi i Galicji – wszyscy oni jednak pojawiają się po trosze znienacka, popchnięci pod pióro przez logikę wywodu, przez kipiel zdarzeń – albo po prostu jak ktoś od dawna znajomy, pojawiający się w książce bez ceregieli. „Ukraina" Hrycaka przypomina tu bardzo (nie osiągając do końca jej fascynującej zwięzłości) „Europę i jej narody" Krzysztofa Pomiana: ta sama lekkość kondensacji, błysk, który oświetla tylko wierzchołki gór – ale to wystarcza, by wskazać kierunek całego łańcucha.

Pomian mógł sobie na to pozwolić, pisząc o „Europie, jaką wszyscy znamy”: Spinoza, Karol Wielki, Mill, Locke i Petőfi byli dla czytelników tamtej książki na tyle rozpoznawalni, nie tylko „z nazwiska”, lecz i „ze spuścizny”, że nie trzeba było osadzać ich w miejscu i czasie, tłumaczyć ich intelektualnego czy genealogicznego rodowodu: byli już tu, gotowi, żeby posłużyć jako elementy rebusu czy mozaiki. „Ukraina” Hrycaka napisana jest przede wszystkim z myślą o odbiorcach, dla których pojawienie się Drahomanowa, Chwyłowego czy Jarosława Mądrego jest podobną oczywistością, nawet nieco nużącą: można posłużyć się nimi tak, jak zdolny dziesięciolatek posługuje się klockami Lego, już nie odtwarzając projektu suflowanego przez producenta, lecz wznosząc własny. Jeśli Hrycak przegrał wyścig z Pomianem, jeśli jego książka liczy nie 150, jak „Europa”, lecz 550 stron, to nie tylko ze względu na hojne marginesy, lecz przede wszystkim – dygresje, często pomijane przez polskiego czytelnika: na przykład o historii (i wyjątkowości) sporu o inwestyturę między Cesarstwem a papiestwem i konsekwencjach, jakie miał on dla narodzin europejskiego pluralizmu.

I to właśnie oznacza, że zapowiedź ze wstępu należy traktować poważnie: Jarosław Hrycak pisze tam, że jego książka „pisana była przede wszystkim dla młodych, którzy urodzili się po upadku komunizmu (…) i w ciągu najbliższych dziesięciu-piętnastu lat będą sprawować władzę w Ukrainie”. To rzeczywiście dla nich (często uczących się z podręczników staroświeckich, nieraz jeszcze postsowieckich z ducha, bardzo ukrainocentrycznych, przeładowanych szczegółami) napisana jest ta historia lekka, wręcz ostentacyjnie odbarczona; historia, w której przywołana jest (oczywiście! – można by leciutko westchnąć) szkoła *Annales* i „koncepcja *longue durée*”, lecz także – „historia globalna”, skupiona na komparatystycznym postrzeganiu zjawisk, ale i na konkretnym, nieakademickim, politycznym pytaniu o źródła bogactwa i nędzy narodów: Hrycak przywołuje we wstępie jako swych mistrzów Hernando de Soto, Ingleharta, Roberta Putnama, raz i drugi, gdy pisał o „wielkich cyklach dziejów”, zamajaczył mi w tle cień Lwa Gumilowa. To młodych, bardziej od dziejów utraty prymatu przez Kijów, interesują szanse na „awans” Ukrainy z grupy państw rozwijających się, projekty integracyjne (z UE) i komunikacyjne; to z myślą o tych odbiorcach podejmowane są przez autora wysiłki (jak wszystkie takie wysiłki, skazane po części na

niepowodzenie) uczynienia książki bardziej „młodzieżową” poprzez odwołania do Beatlesów, Bee Geesów, a nawet lwowskiego, pop-rockowego „Okeanu Elzy”.

Warto, myślę, zdać sobie sprawę z tych założeń wstępnych, bardzo serio potraktowanych przez autora. Z długu, jaki zaciągnął on u Andersona i Gellnera, z przywiązania do „zamożności i demokracji”, do wysokiej pozycji w wykazie *Human Development Index* jako do najbardziej pożądanego i najbardziej wymiernego zarazem celu, jaki stoi przed współczesną Ukrainą, z tego, że pisał tę książkę nie tyle jako „rzecz akademicką”, co jako swoisty zbiór wskazówek, podręcznik nie tyle dla „Księcia”, co dla *young urban professionals*, którzy stali się obywatelami na Majdanie, a dziś ciągle jeszcze mają nadzieję wyjść z okopów pod Awdijewką. Jeśli będziemy tego świadomi – dużo więcej przyjemności poznawczej dadzą nam bardzo błyskotliwe propozycje autora – już to usiłującego osadzić małoruskie ziemiaństwo połowy XIX wieku na skali postaw między „lojalnością”, „autonomią” a „separatyzmem”, już to przeprowadzającego jedyną *par excellence* paralelę między *szestydesatnikami* a *Beat Generation*, ilustrującego wywody ukraińską poezją współczesną w świetnych przekładach Marcina Gaczkowskiego,

Jarosław Hrycak, „Ukraina: wyrwać się z przeszłości”, tłum. Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska-Grabowska, Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2023

* * *

Kolegium Europy Wschodniej podjęło inicjatywę, na którą niełatwo zdobyć się oficynom znacznie potężniejszym. Na publikowanie klasyków (nie tych z lektur szkolnych lub pensjonarskich, lecz tych często zapomnianych, sprzed stu i więcej lat) zwykle zdobywają się wydawnictwa akademickie, finansując z grantów reedycje dziewiętnastowiecznych nowelistów, łacińskich poetów baroku. Tymczasem KEW, oprócz współczesnej literatury ukraińskiej, wydało niedawno drugi już, po „Żółtym księciu”, powieści Wasyla Barki o Hołodomorze, napisanej w latach 60., tom „archiwalny”: tym razem jest to musująca, purenonsensowa proza z lat 30., „Podróż uczonego

doktora Leonarda i jego przyszłej kochanki, przepięknej Alcesty, do Szwajcarii Słobodzkiej" pióra rozstrzelanego w 1937 Mike'a (Mychajło) Johannsena.

- Czy zestarzała się? – pyta bezwzględny czytelnik, ciekaw tylko rozrywki. Powiedzieć można tyle: przez 90 lat, jakie minęło od napisania „Podróży uczonego doktora Leonarda" pewnie jeden i drugi koncept mogły gdzieś zamigotać w prozie któregoś z języków: chochlików *pure nonsensu*, hodowanych troskliwie przez Wilde'a i Lewisa Carrolla, wypuszczonych na cztery wiatry przez surrealistów, nie da się okiełznać, będą się pojawiać, gdzie zechcą. O tym, w ile miejsc się rozpierzchły, wędrując czasem również pod prąd strumienia czasu, świadczy najlepiej to, z iloma tekstami kojarzyć się może powieść Johannsena: autor okładkowego blurbu, Zbigniew Rokita, słyszy w niej echa „Trzech panów w łódce" Jerome K. Jerome'a; mnie filuterna powaga, bocianie namaszczenie, towarzyszące żegludze łódką po Dońcu, natychmiast przywodzi na myśl „Podróż sentymentalną" Sterne'a. Dystans, już nie filuterny, a nieledwie drwiący, do prostackich stereotypów związanych z ukraińskim ludem (wąsy, *horyłka, sało*) przywodzi z kolei na myśl Andruchowycza. Ale delikatny cień niespełnienia, który kładzie się na romansie doktora i pięknej Hiszpanki, jest jakby żywcem wzięty z „Czaszki w czaszce" Piotra Wojciechowskiego, a absurdalna hiperbolizacja komsomolskich przechwałek to z kolei może wpływ, a na pewno, we współczesnych uszach, echo Płatonowa? Nic nie jest pewne prócz tego, że peregrynacji Leonarda, Alcesty i Wyrwinosa nie należy w najmniejszej mierze traktować poważnie. Jak wyznał w posłowiu sam Michel/Mychajło (syn nadbałtyckiego Niemca, Gervasiusa Johannsena: stąd ten mylący, anglosaski na pozór „Mike"!): „[autor] uciekł się więc do fortelu: wyciął z tektury ludzkie figurki, z grubsza pomazał farbami, a przez ich tekturowe pupki przeciągnął drut, po czym z radością wystawił je na słoneczny żar prawdziwego stepu".

Bo to jedno jest w „Podróży…" na serio: żar stepu, opisy przyrody. – OPISY PRZYRODY? – zawoła z przerażeniem czytelnik, przywykły od liceum do niecierpliwego kartkowania Orzeszkowej? A jednak. Od pierwszego zdania napisanego na serio („Stali pośród stepu. Szarłat szorstki, amarantowy znak Hiszpanii, zaszeptał pod ich stopami") coraz mniej uwagi poświęcamy figurkom ludzkim, coraz więcej – tłu. „Jawory i dęby schylają się ku ciemnej wodzie i zasłaniają jej brzegi

suknem swych rękawów. (…) Wsłuchaj się teraz w tę ciszę, a wyłowisz z niej wilgotny dźwięk, ozdobny tryl, ornament orkiestrowej muzyki. To zanika, to rozbrzmiewa rozmaitymi dźwiękami w oddali, jakby muzykalny ptak przelatywał ze wzgórza na wzgórze, nanizując pasma wodnistych, atonicznych i mglistych nut na pięciolinię. Ten maestro o twardym dziobie jest pierwszym fletem Szwajcarii Słobodzkiej". Myślę z podziwem, jak uporał się z tym przekładem Maciej Piotrowski i zerkam na notkę encyklopedyczną o Michelu/Mike'u. „Zapisał się w ukraińskiej literaturze jako mistrz łączenia dźwięków, aliteracji, muzyki słowa". Jakież to pokolenie rozstrzelano.

Mike Johannsen, „Podróż uczonego doktora Leonarda i jego przyszłej kochanki, przepięknej Alcesty, do Szwajcarii Słobodzkiej", tłum. Maciej Piotrowski, Kolegium Europy Wschodniej, Wojnowice, 2023

Wojciech Stanisławski

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna" ukazują się co dwa tygodnie. Wcześniejsze to m.in:

• *Empireum na Elektoralnej*